

APOSTOŁ POLSKI

Pismo Postulacji do sprawy beatyfikacji Sługi Bożego
o. Bernarda Łubieńskiego

IDŹCIE I GŁOŚCIE



Numer 49 - Lipiec - Sierpień 2017

Drodzy Czytelnicy!

Rozpoczęły się wakacje. Jak co roku jest to dla nas wszystkich nie tylko szczególna okazja do wypoczynku, ale też by znaleźć więcej czasu dla Boga i naszych najbliższych. Potrzeba bowiem w naszym życiu takich chwil, kiedy możemy zostawić nieco na boku nasze codzienne troski i kłopoty, by po raz kolejny przypomnieć sobie po co i dla kogo żyjemy, co w naszym życiu powinno być najważniejsze. To również temu mają służyć nasze rodzinne wyjazdy, uczestnictwo w różnych wakacyjnych rekolekcjach czy też pielgrzymkach pieszych do sanktuariów, zwłaszcza maryjnych.

Dla nas Polaków ten czas już od wielu lat jest związany zwłaszcza z pielgrzymowaniem na Jasną Górę, do tronu Matki i Królowej naszego narodu. W tym roku mija dokładnie 300 lat od koronacji cudownego obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, która miała miejsce 8.09.1717 r. Było to pierwsze w świecie takie wydarzenie poza Rzymem. Korony podarował sam papież Klemens XI. Gdy w 1909 r. zostały ukradzione wraz z sukienką perłową zdobiącą obraz, 22 maja 1910 r. odbyła się ponowna koronacja obrazu Matki Bożej tzw. koronami milenijnymi, ofiarowanymi przez papieża Piusa X, a wraz z koronami obraz otrzymał nową sukienkę - koralową. Jednym z kaznodziejów w tym dniu na Jasnej Górze był Sługa Boży o. Bernard Łubieński.

Dlatego też pragniemy Was szczególnie zachęcić do lektury dwóch tekstów w tym numerze „Apostoła Polski”: nauki rekolekcyjnej o. Bernarda o wierze w Boga oraz Jego wspomnień związanych z początkami pracy misyjnej.

Tak jak zawsze, w biuletynie znajdziecie również kolejne świadectwo o życiu i świętości o. Łubieńskiego oraz prośby i podziękowania za otrzymane przez Jego wstawiennictwo łaski od Boga.

Wszystkim Czytelnikom i Czciicielom o. Bernarda Łubieńskiego życzymy dobrego przeżycia tych wakacyjnych miesięcy, a jednocześnie prosimy o dalszą modlitwę w intencji Jego beatyfikacji.

Redakcja

JAKO MISJONARZ

Zacząłem jeździć na misje w jesieni r. 1875 i jeździłem do roku 1882, do opuszczenia Anglii. Ile tych misji przez siedem lat dałem, nie wiem, bo się bałem rachować dawanych misji w ciągu swego życia, by się z tego nie pysznić. Oczywiście rzecz, że ich w Anglii dałem niewiele, bodaj czy dziesięć rocznie. Tam są misje bardzo długie i dlatego prawie nigdy nie jedzie się z misji na misje, lecz ma się odpoczynek między misjami w domu.

Ponieważ w Anglii nie ma prawie żadnej ludności katolickiej, dawaliśmy misje wyłącznie w miejscowościach fabrycznych. Do tego było dostosowane *horarium*¹ misyjne. Pierwsza nauka rano o piątej. Powtórzenie pierwszej nauki o godzinie dziewiątej lub dziesiątej i dopiero wieczorem o siódmej lub ósmej główne kazanie misyjne. Spowiedź odbywała się wieczorami do północy. Ojciec, który miał poranne kazanie, szedł wcześniej spać. Obiad bywał o pierwszej lub drugiej, podwieczorek podczas wieczornego kazania, a wieczerza po spowiadaniu, nie później niż o wpół do dwunastej, wtedy z zegarkiem w rękę.

Ingres misjonarza odbywał się w zakrystii, ponieważ plebanie w Anglii przylegają do kościoła. Superior niósł wielki krzyż misyjny, który się stawia na przygotowanym dla kaznodziei misyjnego „podium”, bo podczas misji nie przemawialiśmy z ambony, lecz według zwyczaju włoskiego z estrady, podwyższenia bez oparcia, na którym stał obok wspomnianego krzyża stolik i krzesło. Poranne nauki bowiem głosiliśmy siedząco.

Modlitwy za grzeszników odmawialiśmy po błogosławieństwie, na którym wszyscy misjonarze klęcząco w prezbiterium uczestniczyli, odmawiając razem z ludem 5 *Pater* i *Ave*².

Wskutek takich warunków lokalnych misje w Anglii trwały bardzo długo, zwykle dwa tygodnie, po większych parafiach po trzy i cztery tygodnie i jeszcze dłużej. Wielki nacisk kładziono na misje dla dzieci, głównie dzięki o. Furnissowi, który przez piętnaście lat apostołował wyłącznie dla dzieci i ustalił ową tradycję, jaka się tam

¹ Łac.: plan dnia (dosł. zegar)

² Łac.: pięć Ojcze nasz i Zdrowaś Mario



do moich czasów utrzymała. Ja jednak, chociaż przejąłem się duchem tych misji o. Furnissa, jednak zdaje mi się tego daru od Boga nie posiadam. Toteż ilekroć w Polsce wypadało mi dla dzieci dawać misję, zauważyłem, że do innych ojców bardziej lgnęły niż do mnie.

Pierwszą misję odbyłem bez teki, to znaczy bez kazań, w Birmingham, głównym centrum ciężkiego przemysłu angielskiego jako piąty misjonarz przy katedrze, w parafii liczącej kilkadziesiąt tysięcy dusz. Była to misja jubileuszowa ku uczczeniu dwudziestopięcioletniej rocznicy przywrócenia hierarchii w Anglii. Ta misja bardzo się udała. Coraz więcej ludzi wieczorami napływało. Poza kilku naukami porannymi i różańcem praca moja misyjna polegała na spowiadaniu i na wyszukiwaniu po domach owieczek zaginionych. Tutaj w konfesjonale dopiero zrozumiałem, czym jest św. misja. Spotkała mnie jednak konfuzja³, że kiedy na zakończenie misji ordynariusz miał uroczystą celebrę, ja musiałem przemawiać *coram pontifice*⁴.

Tegoż roku w adwencie brałem udział w generalnej misji w Manchester. Dziś to miasto liczy przeszło czterdzieści parafii, wówczas było ich około dwudziestu. Zebraliśmy się w sobotę przed pierwszą niedzielą adwentu w zakrystii katedralnej. Było nas misjonarzy przeszło siedemdziesięciu. Najliczniej stawili się pasjoniści i redemptoryści (dwudziestu) na rozpoczęcie misji w katedrze. W katedrze uszykowała się procesja: najpierw klerycy z seminarium, następnie misjonarze w swych zakonnych habitach - franciszkanie, dominikanie, jezuici, lazaryści, pasjoniści, redemptoryści, rosminianie - na czele każdej drużyny zakonnej kroczył superior z relikwią swego św. założyciela, następnie kler świecki całego miasta, kanonicy, wreszcie biskup Vaughan, bosy, bez kapy, w albie, z gołą głową, w rękę trzymał wielki krucyfiks. Tak obeszlśmy przy śpiewie *Miserere* wnętrze

³ Zakłopotanie

⁴ Łac.: wobec biskupa

katedry do chóru i prezbiterium. Tutaj ksiądz biskup wziął kapę i zaintonował *Veni Creator*. Potem miał sam wstępne kazanie do misjonarzy, udzielając szerokich władz i błogosławieństwa. Z katedry każda drużyna misjonarzy udała się do tego kościoła, który jej był wyznaczony. Ja z siedmioma towarzyszami przeznaczony byłem do najliczniejszej parafii i niestety najbardziej zaniedbanej. Był tutaj proboszczem ksiądz starej daty, olbrzymiego wzrostu Irlandczyk, który w swej pracy pastoralnej posługiwał się kijem sękatym, a na misji chciał zarobić. Postawił więc przy drzwiach kościoła swoich cerberów, by nikogo wieczorami nie wpuszczali do kościoła, kto by nie uiścił pewnej opłaty, przynajmniej jednego pensa. Dopiero po kilku dniach misji spostrzegłem, co się dzieje u drzwi, więc zaraz pobiegłem do o. superiora, który się w pokoju gotował na wieczorne kazanie i opowiedziałem mu o tym. A takim bólem serca mnie to przejęło, że się dusze tym od misji odstręcza, że wybuchnąłem płaczem przed o. superiorem. Ale on tego tak tragicznie nie przyjął, bo Irlandczycy przyzwyczajeni są do tego obchodzenia się z nimi przy drzwiach kościoła. Toteż kazał mi cicho siedzieć i nic więcej o tym nie wspominać, a on to sam z proboszczem załatwi. Jak to załatwił, nie pytałem, dość, że mimo tego haraczu przy wejściu mury kościoła co wieczór pękały przez cały adwent od napływających tłumów.

Zawód mnie spotkał przy tej misji co do kazań, które miałem wygłosić. Zaraz pierwszej niedzieli posłano mnie z kazaniem o zbawieniu do sukursalnego⁵ kościoła na sumie. Jako niedoświadczony kaznodzieja, nie zwróciłem uwagi, że miałem okno nad amboną otwarte. W tym przeciągu kazałem i spociłem się, no i zachrypłem tak, że nawet różańca nie byłem zdolny poprowadzić. Za to siedziałem od rana do blisko północy w konfesjonale, myślałem, że zwariuję. Całą noc śniłem o spowiedziach i przez sen gadałem: Ile razy, co jeszcze, nie bój się... Wielka to była misja i wielkie jej skutki, samych konwertytów naliczono do tysiąca.

Odprawialiśmy swe misje zwykle w dzielnicach robotniczych, wyjątkowo tylko wśród bogaczy. Jedna z nich utkwiła mi w pamięci ze względu na szczególne nawrócenie, do którego mnie Matka Najświętsza raczyła użyć za narzędzie. Było to w maju przy kościele Matki

⁵ Filialnego, pomocniczego

Boskiej w Londynie przy ul. St. John`s Wood. Ołtarz pamiętam do dziś, cudownie w same azalie i kamelie przybrany, przy nim głosiłem nauki. Otóż kiedy pewnego poranka idę do konfesjonału spotykam u drzwi kościoła dziewczynę klęczącą u progu zalaną łzami. Pytam się, co się jej stało. Na to odpowiada: „Matka Boska mnie odrzuciła, niegodna jestem zbliżyć się do Jej ołtarza”. Wziąłem ją na bok i kiedy się nieco uspokoiła, opowiedziała mi, co się z nią stało.

Była Irlandką i jak tyle innych dziewcząt irlandzkich głodem zagnana do Londynu znalazła się bez opieki. Przed wyjazdem z domu rodzinnego proboszcz przyoblekł ją w szkaplerz karmelitański i polecił jej, żeby co wieczór pomodliła się do Matki Bożej i nigdy nie była bez szkaplerza. Zrazu dobrze się trzymała, chodziła do kościoła, uczęszczała do sakramentów św., szanowała swą cnotę. Odkąd jednak dostała się w złe towarzystwo, ostygła w swej pobożności, opuściła się w swych praktykach religijnych i na koniec zesła zupełnie na złą drogę. Mimo wszystko jednak ową modlitewkę do Matki Najświętszej odmawiała i nosiła Jej szkaplerz. I tak było do ostatniego wieczoru, kiedy późno wróciła z ulicy do swego mieszkania, a odmówiwszy zwykły paciorek do Matki Najświętszej i upewniwszy się, że ma szkaplerz na sobie położyła się spać i zasnęła: „Jak długo spałam, nie wiem...”, opowiada, „aż tu raptem z trzaskiem drzwi się otwierają, zrywam się i widzę przed sobą Matkę Boską wchodzącą do pokoju, cała oświecona zbliża się do mnie i mówi - *Niegodna jesteś nosić mój szkaplerz* - i zrywa mi go ze szyi, i znika... Ciemność ogarnia izbę. Pierwsza rzecz: przekonać się czy to sen, czy prawda... Sięgam po szkaplerz u szyi... nie ma go. Zapalam światło, szukam szkaplerza na łóżku, pod łóżkiem wokoło, zniknął bez śladu... Wszystko przetrząsnęłam - na próżno. Zatem prawda: Matka Boska mnie odrzuciła. Zalałam się łzami i tak resztę nocy przeklęczałam i płakałam. Skoro się rozwidniło, ubrałam się i wyszłam z domu, błąkałam się po ulicach i natrafiłam na ten kościół, na ten ołtarz tak cudownie ubrany, ale nie odważyłam się wejść, czuję całą swoją niegodność...”

Starałem się ją uspokoić, natchnąć ufnością do Matki Najświętszej i odebrałem od niej przyrzeczenie, że będzie przychodzić na kazania misyjne. Resztę łaska Boża dokonała. Po dobrej spowiedzi, widząc

szczerłość jej nawrócenia, odważyłem się na przyobleczenie jej na nowo szkaplerza Matki Najświętszej.

Kończąc moje wspomnienia o misjach swych w Anglii, nasuwa mi się tutaj jedna uwaga: patrząc wstecz na te kilka misji, w jakich brałem udział z dala od mej Ojczyzny, doznałem na sobie prawdy słów: *Nemo propheta in patria sua*⁶. Poznałem, że Bóg więcej błogosławi w pracy obcokrajowcom za to, że się wyzbyli naturalnego przywiązania do swej Ojczyzny. Prócz tego jako obcy mniej skrzepowany jest względami ludzkimi, względami rodzinnymi i pokrewieństwa, tradycji rodzinnych itd. Gdybym miał znowu rozpocząć życie, kto wie, czybym nie prosił przełożonych, żeby mnie do Polski nie posyłali. Bo dzisiaj to rozumiem, wiele więcej naprawdę dobrego byłbym zrobił w Anglii z pomocą Bożą niż zrobiłem w Polsce. Ale w roku 1882 byłem młody i rwałem się do pracy w Polsce...

o. Bernard Łubieński, *Wspomnienia*, Kraków 2009, s. 143-147

WIERZĘ W BOGA OJCA WSZECHMOGĄCEGO, STWORZYCIELA NIEBA I ZIEMI

Najświętsza Panna jest Niepokalaną. Co to znaczy? Że od pierwszej chwili istnienia swego była bez zmały grzechowej, zupełnie należała do Boga. I to tak zupełnie Jego została, że przez całe życie każda myśl, każde słowo i każdy uczynek Maryi jak najdoskonalej do Boga się odnosił. Zjednoczona z Nim żyła. Bóg był Jej życiem. Lepiej jak św. Paweł rzec mogła: „Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”.

Jakże nam daleko do tej doskonałości. Ani marzyć nam nawet o dostąpieniu tej zupełnej doskonałości, którą Maryja otrzymała jako przywilej szczególny, który udoskonaliła w sobie przez swą wierność łasce. Jednakowoż każda z was do tej doskonałości, według miary łaski jej danej, dążyć powinna; każda z was musi pracować, aby Bóg był także jej życiem. Na to właśnie są te święte rekolekcje.

⁶ Łac.: Nikt nie jest prorokiem w swojej ojczyźnie

Toteż o Bogu będzie pierwsza medytacja. Zwykle o celu człowieka najpierw bywa mowa. Nie bój się, nie zejdiesz przez to ze zwykłej ubitej drogi ćwiczeń duchowych, jeżeli o Bogu będziesz rozmyślała jako jedynym twoim dobrem. A może na przyszłość wprowi cię ten sposób rozpoczęcia rozmyślań rekolekcyjnych, abyś w życiu duchowym mniej o sobie, a więcej o Bogu myślała.

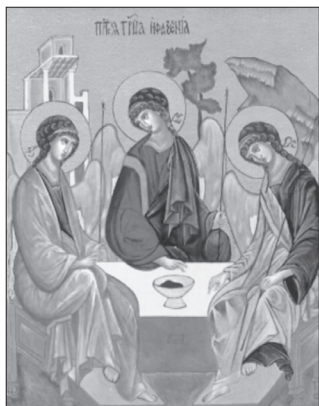
„Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi!” Co dzień rano i wieczór przy pacierzach odmawiasz Skład Apostolski: może mało kiedy zastanawiałaś się nad całą doskonałością tajemnicy w nich ukrytej.

Przenieś się myślą wstecz w tę chwilę, która poprzedziła stworzenie świata. Jeszcze nic, zgoła nic nie było. Jedna otchłań nicstwa, pustki, nic. Wszakże już wtedy było coś: istniała jedna istota. Odkąd? Od wieków. I któż cię stworzył istoto odwieczna? Nikt. Może Ty sam się stworzyłeś? Nie. A więc z niczego pochodzisz? Z niczego. Istnieję, bo istnieć muszę: nie pytaj więcej, bo nie mogę cię lepiej oświecić. Jeżeli się mnie pytasz, kim jestem, oto moja odpowiedź, którą Mojżeszowi dałem i tobie daję: „Ego sum, qui sum; Jam jest, którym jest”.

Credo in Deum! Wierzę w Boga! Wierzę, choć Cię nie przenikam rozumem, dość mi wierzyć. Jesteś, bo być musisz! Jesteś, boś jest Bogiem. Ale jakąż ma naturę ten Bóg? Czy ciało ma jak człowiek? Nie. Czy duchem jest jak anioł? Też nie, bo anioł jest duchem stworzonym, a Bóg jest duchem niestworzonym, pierwotnym. On wszystko stworzył, niebo i ziemię, anioła i człowieka. A wszystko, co jest, jest tylko jakby odbłaskiem Jego istoty. Tylko o tyle jest wszystko dobre, piękne, święte, o ile Boska istota przelała na nie obraz swojej doskonałości.

A więc wołaj do Boga z Kościołem podczas Mszy św.: „Ty sam jesteś Święty, Ty sam jesteś Panem, Ty sam Najwyższy!” Lecz niestety, duszo chrześcijańska, jakże mało o tym Bogu myślisz! Głowę twą, serce, wypełnione masz światem, stworzeniami, samą sobą - a o Bogu, od którego wszystko pochodzi, jakże mało myślisz! Czyż nieprawda, że żyjesz jakby Go nie było! Nie odnosisz do Niego i [tego], co masz z rąk Jego, co On ci daje. Nie chcesz Mu za to być wdzięczną.

Chcesz żyć bez Niego: nie chcesz nic o Nim myśleć, wiedzieć; chcesz, aby dla ciebie nie istniał. Jeśli nie słowami, to jednak czynami jesteś ateuszką. Czyż takie życie bez Boga, bez myśli o Nim, bez miłości do Niego, bez Jego łaski, nie jest prawdziwym ateuszostwem? Niestety, znajdziesz wielu praktycznych ateuszów, nawet pomiędzy tymi, co się chrześcijanami nazywają. Czy może sama jesteś z ich liczby?



Ach, nawróć się do Boga twego! Myśl o Nim, pamiętaj o Nim, kochaj Go! Nie ma nic na ziemi tak godnego twego umysłu i serca, jak Ten Bóg Najwyższy, Bóg jeden i troisty. Boć ten Duch, ta Istota odwieczna, ten Bóg, żyje. Od wieków żył, myślał, widział, mówił, miłował, działał. Tylko że to życie Boskie i wszelkie objawy tego życia, nie są jak u nas przelotne, nędzne, ograniczone. U Boga wszystko Boskie, arcydoskonałe, niepospolite, odwieczne.

„O Beata Trinitas! O Trójco błogosławiona!” wołaj z Kościołem. Upokórz się przed tą tajemnicą, którą Bóg tak objawił, a Kościół św. tak nam tłumaczy. Boga Ojca i Syna i Ducha św., w Trójcy św. jedynego i przyznaj się, że nie masz, że mieć nie będziesz na tej ziemi przedmiotu doskonalszego, wznioślejszego, szlachetniejszego do badania, do umiłowania. A przecież ty giniesz za tym, co jest doczesne, co podłe, co grzeszne na tej ziemi. Przedkładasz je nad Boga, który stanowi i stanowić będzie szczęście niewypowiedziane wybranych na wieki. Bo ten Bóg jest twoim Bogiem, twoim Stworzycielem, początkiem i końcem twojej istoty.

Rozważ, jak Trójca Przenajświętsza, ta rodzina jedna i troista, od wieków istniejąca, od wieków była też zupełnie szczęśliwą. Nic Bogu nie brakowało i brakować nie mogło. Ani kropelki skąd inąd dolać nie można było do oceanu szczęścia, które Bóg sam w Sobie od zawsze i na zawsze posiadał.

Lecz ten Bóg nie tylko od wieków jest dobrym, lecz i dobroczynnym; nie tylko doskonałym, lecz i udoskonalającym; nie tylko miłym, lecz i miłującym. „Deus caritas est; Bóg jest miłością” mówi św. Jan. Taka była Jego natura od wieków: chęć uszczęśliwienia drugich. Żadna matka nie pragnie tak żywo szczęścia swego dziecka, nie potrafi żyć dla tego dziecięcia ulubionego, jak Bóg z upragnieniem życzy Sobie udzielić szczęścia Swego drugim. A ponieważ jeszcze nic nie istniało, nie było umysłów ani serc, w które by mógł przelać Swe własne szczęście, moc twórcza Boga przysłała Mu na pomoc. Stworzył. Co stworzył? Aniołów, ludzi, ciebie. Na co cię stworzył? Nie dla ciebie samej, boś nie istniała - nie dla stworzeń lub innych ludzi, bo i oni nie byli li tylko dla siebie. Siebie chciał tobie dać.

Jeszcze nie istniałaś, nikt o ciebie nie dbał, nikt o tobie ani nie pomyślał. Bóg zaś o tobie myślał od wieków; od wieków cię ukochał. A gdy przysłała na to pora, stworzył cię. Stworzył cię z niczego, bo i proch, z któregoś powstała, był też kiedyś niczym. Stworzył cię z niczego, abyś Jemu tylko zawdzięczała twą istotę i życie Jemu jedynie poświęciła. Stworzył cię dla Siebie, aby na twej duszy odmalować Swoje doskonałości, wyryć w niej Swoje zalety święte; wlać w ciebie Swoje cnoty Boskie, Swoją piękność nieskazitelną. Stworzył cię dla Siebie, aby tobie odkryć w niebie oblicze Swoje przecudowne. Tak, stworzył cię, abyś kiedyś wpatrywała się „twarzą w twarz” w Jego Majestat; widziała Jego Boskie doskonałości, Jego chwałę i szczęście bez granic. Stworzył cię, abyś i ty przeniknięta była szczęściem Jego nieprzebranym, płonęła tą miłością, którą On goreje. A ponieważ twa natura nędzna wniwecz by się obróciła w tym świecie niebieskim, w tym ogniu miłości Bożej, Bóg ci już teraz w serce wlewa łaskę Swoją, przez którą już dziś stajesz się uczestniczką natury Boskiej, a w niebie staniesz się zdolną widzieć i znieść to Oblicze Boskie, radować się radością Jego, żyć życiem Jego. Stworzył cię, aby ci kiedyś mógł powiedzieć: „Dobrze, słuگو dobra i wierna, wejdź do wesela Pana twego”.

O duszo, duszo, dokąd bieżysz, dokąd twe życie cię prowadzi? Czy do tego celu? Czy do nieba? Do Boga? Masz że ty tę łaskę uświęcającą

zawsze w sercu twoim? Żyjesz ty dla Boga Stwórcy swego? Czy może żyjesz dla stworzeń? Dla siebie?

Dość, dość już światowego, grzesznego życia! Dość tego samolubstwa. Bóg myśli o tobie; i ty więc myśl o Nim. On cię kocha i ty Go ukochaj. Skup się, wejdź w siebie, dla Niego żyć musisz, Jemu się oddać.

O dziecko Maryi, proś Matkę Niepokalaną, abyś i ty, jak Ona, należała do Boga!

*/Konferencja spisana przez uczestniczkę rekolekcji prowadzonych
przez o. Bernarda Łubieńskiego w roku 1889, Wszystko z Bogiem
i dla Boga przez Maryję/*

WSPOMNIENIA I ŚWIADECTWA O SŁUDZE BOŻYM O. BERNARDZIE ŁUBIEŃSKIM

Wielokrotnie mnie przynaglano, ażebym złożył na piśmie treść swej rozmowy z Ojcem Bernardem, która miała miejsce w roku 1905 - a swój swoisty epilog, tj. spełnienie Jego przepowiedni dokonało się w 1933 r. w maju - jeszcze wtedy za Jego życia.

Zawsze się uchylałem od podania jej treści bowiem mnie ona dotyczyła, jednak pisać o sobie nawet rzeczy prawdziwe uważałem za zuchwałość i pyszałkowatość.

Obecnie to czynię chętnie - gdyż nie mogę pozostać obojętnym - skoro rozpoczęto zbieranie materiału do procesu informacyjnego w związku z ogłoszeniem władz kościelnych.

Było to w roku 1905 po ogłoszeniu tolerancji religijnej w Kongresówce - na skutek którego spełniły się gorące pragnienia Ojca Bernarda powrotu do ziemi ojczystej - do Polski na prace misyjne.

Ks. regens Kakowski uprosił Ojca Bernarda, ażeby dał rekolekcje dla alumnów Seminarium Warszawskiego; 120 alumnów przed rozpoczęciem roku szkolnego. Były to rekolekcje normalne i to pierwsze po przyjeździe Ojca Bernarda do Polski.

Była to chwila - jakżesz bardzo oczekiwana przez nas młodych kleryków - nie widzieliśmy [jeszcze] Ojca Bernarda, aleśmy słyszeli o Jego wielkim duchu, umiłowaniu młodzieży duchownej, tych „kleryczków kochanych”, jak zwykł był nas nazywać.

Oczekiwaliśmy stojąc - każdy na swoim miejscu, w kaplicy - nie widzieliśmy Go, ale wiedzieliśmy, że jest słysząc jego chód głośny i utrudzony. Zapanowała cisza i wszyscy wspinali się, by widzieć tego, który porywał i wyrывał dusze szatanowi - gdziekolwiek się pokazał, a słowami apostołskimi otwierał wrota serc ludzkich dla Pana Jezusa.

Wreszcie krótka modlitwa Ojca Bernarda „Veni Sancte Spiritus” i rozpoczęła się konferencja wstępna. Przemówienia Ojca Bernarda - o którym wieleśmy już słyszeli - lecz któregośmy po raz pierwszy w życiu swoim zobaczyli, już wówczas kalekę, gdy Go z trudem windowano na podium, gdzie stał klęcznik dla niego przygotowany - na pewno każdy z lękiem sobie pomyślał: o to nie będzie zabawa, ale praca i to wytężona, by duszę każdy z nas oczyścił i do celu właściwego swoją wolę, według woli Bożej, skierował.

A gdy usta swe otworzył, a oczyma swymi powiódł po obecnych, zdało się nam, że przeszły po nas ciarki i byliśmy pełni lęku, a przy tym i litości dla Jego kalectwa, ale gdy popłynęła mowa jędrna, pełna apostołskiego namaszczenia, bez żadnych ozdób i afektacji, przepojona umiłowaniem tych, do których mówił, tak przez siebie umiłowanych alumnów Seminarium Warszawskiego, dech nam zaparło.

Koledzy wszyscy zgodnie powiadali, że kalectwo Ojca Bernarda, stawało się błogosławieństwem dla tych, co go słuchali, gdyż chwilami zdało się, że duch Boży przez niego przemawia.

Słowa Ojca Bernarda w spragnione dusze młodych alumnów wpadały niby miły powiew łaski Bożej, a w całym domu w tych dniach ćwiczeń rekolekcyjnych zapanowały spokój i cisza jakiej nikt nie pamiętał.

Żadne rekolekcje potem nie pokryły tego wielkiego wrażenia - pobudzając wolę, ożywiając duszę jakąś nową siłą, obleczoną w dobre postanowienia - a na wszystkich zjazdach koleżeńskich z radością

wspominano pierwsze Ojca Bernarda rekolekcje. „To był fundament” - stwierdzano ustawicznie, na którym się wspierało nasze później życie kapłańskie.

Ale jak wszystko na ziemi - przyszedł dzień rekolekcji ostatni - a było to lat temu 47 i jednak dziś jeszcze na wspomnienie ich, coś za gardło chwyta - jakaś tęsknota.

Po ostatniej konferencji, rankiem ks. regens Kakowski wezwał mnie do siebie, a byłem na drugim roku filozofii i powiada mi: Mój drogi, zawołaj dorożkę i zawieziesz Ojca Bernarda do pałacu Arcybiskupa Popiela i wprowadzisz na górę. Załatw to dobrze, bo jesteś warszawiakiem i dasz sobie sam radę, gdyż tam ci dopomoże odźwierny Arcypasterza.

Nie posiadałem się z radości - że będę razem - tuż obok Ojca Bernarda siedząc - jechał z Nim. Ucałowałem ze czcią rękę ks. Regensa i popędziłem, ubrawszy się, po dorożkę.

Przy pomocy kolegów sprowadziliśmy Ojca Bernarda do furty i ulokowaliśmy Go w dorożce. Jedziemy, nic nie mówiąc do siebie prawie całą drogę. Ja usadowiłem się bokiem do Ojca Bernarda tak, bym miał możność wpatrywać się i nie uronić nic z wyrazu tej twarzy, tak przedziwnie dobrej, a jednocześnie zdało mi się zbolalej, ale nie smutnej czy ponurej, lecz zupełnie spokojnej i opanowanej.

Wskazałem kierunek, dokąd będziemy jechać, prosiłem jednak, ażeby jechał powoli, by możliwie być jak najdłużej razem z Ojcem Bernardem w dorożce. Wyruszyliśmy tedy Krakowskiem Przedmieściem do Nowomiodowej, po czym przez Miodową ku Pałacowi Arcybiskupów Warszawskich.

Kiedyśmy wjeżdżali do bramy Pałacu Arcybiskupiego, wówczas Ojciec Bernard, jak gdyby ocknął się z zadumy, wpatrując się we mnie, bierze mnie za rękę i powiada powoli, jak gdyby z naciskiem, by wzbudzić moją uwagę: „Oto ja wiozę teraz przyszłego biskupa!”

Nie wiem czemu, ale parsknąłem śmiechem i odpowiedziałem: „Wolne żarty - Ojciec Wielbny - ale, że ja dzisiaj wiozę do Arcypasterza przyszłego Świętego - to więcej jak pewne!”

„O! ho, ho - odpowiedział Ojciec Bernard - przy czym podniósł swą rękę ku niebu wskazując palcem wysoko - tam czynią świętych - a biskupów tu na ziemi.”

Tymczasem dorożka zatrzymała się przed wejściem do pałacu Arcybiskupiego, poprowadziliśmy z odźwiernym Ojca Bernarda na górę - do czekającego już na Ojca Arcybiskupa Popiela, a pierwsze słowa zwrócone do mnie przez Arcybiskupa było: takieście długo mitrężyli w drodze, a ja tu czekam niecierpliwie na was...

Powracałem sam do seminarium - zapomniałem na razie o prorocztwie Ojca Bernarda co do mojej osoby, a całe uczucie moje było zwrócone na chwile spędzone podczas przejazdu z Ojcem Bernardem, mimo woli odpędzając od siebie cisnące się wrażenia, czułem jednak wówczas blisko tuż około siebie osobę przyszłego świętego i pamiętam ten głos wewnętrzny, który mi nakazał uzewnętrznić to, co czułem prawdziwie, słowami: „ale, że ja dziś wiozę do Arcypasterza przyszłego świętego - to więcej jak pewne”, odczuwałem, że mówię prawdę - mającą podstawę stania się rzeczywistością...

Ale nadeszły dni codziennej pracy i zmagania się w walce ze sobą samym, by dobrnąć do zamierzonego celu, jakim było me przyszłe kapłaństwo. Nawet wówczas, gdy zostałem wezwany przez Arcybiskupa Popiela, który oznajmił, że zostałem wybrany, ażebym jechał na studia za granicę, nawet mi wspomnieniem nie przyszło na myśl ta wypowiedź Ojca Barnarda.

Minęło lat 28 i oto w dniu 23 maja 1933 r. otrzymuję wiadomość o swojej prekonizacji na bpa sufragana pińskiego.

Kiedy się zdałem na wolę Bożą - jak błysk jeden od razu mi przyszła na pamięć wypowiedź Ojca Bernarda, a żył jeszcze - był to bowiem dopiero maj 1933 roku. Postanowiłem udać się na ulicę



Ks. bp Karol Niemira

Karolkową, gdzie On rezydował, by się użalić przed Nim, gdyż здавало mi się, i nic dziwnego, że może to On mi napędził całą biedę z tym biskupstwem.

Wchodzę do domu na Karolkowej. Pytam się brata, który usługiwał Ojcu Bernardowi - a znałem go dobrze, bywałem tu dosyć częstym gościem – *Bracie, jest Ojciec Bernard w domu?*

Jest u siebie w celi - i ręką wskazał drzwi uchylone do Jego pokoju. *Nigdzie nie wychodzi* - tłumaczy brat - *a nawet w niektóre dni trudno mu się jest poruszać.*

Niech brat powie Ojcu Bernardowi, że ja przyszedłem i małe pięć minut u Ojca zabawię...

Słyszę, jak braciszek powiada: *Ojcze, przyszedł do Ojca biskup i prosi, żeby mógł się zobaczyć.*

Co takiego - zapytuje Ojciec Bernard - *Kto przyszedł? Biskup* - powtarza braciszek głośniejsze.

Jaki biskup? - pyta sam raz jeszcze i zaraz dodaje - *Pewnie ten nowy nominat!* I woła na brata: *Bracie, zabieraj tę szczotkę, a miednicę wynoś, a złap ścierkę i wycieraj krzeselko, bo może zakurzone, o la Boga, a tam te łachy...*

Robi się rejwach, jak zwykle w takich nagłych razach, ale się wszystko uspakaja, gdyż ja nie czekając na zaproszenie - sam wchodzę do celi - a pochwaliwszy Pana Boga, prędko biegnę by powitać i nie pozwolić Ojcu wstawać, gdyż widzę, że robi ogromny wysiłek, by powstać, jak zwykle to On robił w podobnych wypadkach, ale to mu się nie udaje - więc woła: *Daruje Wasza Ekscelencja mnie staremu, ale ustać już nie mogę, żeby upaść do nóg na powitanie.*

Tedy ja znowu usiłuję i spieszę się, by nie pozwolić Mu powstać i pomagam mu usiąść wygodnie na krześle. Powiadam - *Ojcze Drogi, toć są wszystko zbyteczne ceremonie, a toć jeszcze nie było konsekracji, bo będzie dopiero 15 sierpnia w dzień Wniebowzięcia Matuchny Najświętszej.*

Nic to - przerywa mi - *ale od nominacji należy się hołd biskupi, a Bogu dzięki niech będą, że Wasza Ekscelencja przyszedł do starego*

... A gdy Go przepraszam, że mu przerwałem ciszę i odmawianie pacierzy mówi: *Oj, Bóg zapłać ks. Biskupowi, bo ja się gotuję do dobrej śmierci.*

Nie będę zabierał drogiego czasu, ale przybyłem tu po to, nie abym błogosławił Ojca na dobrą śmierć, ale żeby się przypomnieć, uzalić się na to moje nieszczęście, a głównie, żeby mnie pobłogosławił Ojciec na ciężką, aż nadto, drogę życia biskupiego, boć mi wyprorokował to moje nieszczęsne biskupstwo.

Aha! Odkąd to kapłani będą błogosławić biskupów, toć oni są od tego, by nas błogosławili.

(Patrzę - Ojciec Bernard, siedzi przed swoim biurkiem, ubożuchnym, zakonnym. Na wszystkich półeczkach stoi mnóstwo małych obrazeczków świętych Pańskich, orientuję się poznając, iż to są patronowie i patronki dobrej śmierci. Na pierwszym miejscu stoi większych rozmiarów obrazek Matki Bożej Nieustającej Pomocy, św. Józefa, św. Alfonsa Liguoriego, fundatora Zgromadzenia, i tuż obok św. Gerarda Majelli i św. Klemensa Marii Hofbauera. Na szyi i plecach widzę zawieszone medaliki i szkaplerze w wielkiej ilości.)

Kiedy się jakoś wszystko uspokoiło i ochłonałem z pierwszego wrażenia - tedy opanowawszy wrażenie zaczynam mówić. Ojciec Bernard obraca się ku mnie i patrzy na mnie z zaciekawieniem.

Pozwoli Drogi Ojciec, że wyluszczę powody mojej wizyty, bo mi ona bardzo na sercu leżała... Widzę, że Ojciec Bernard kiwa tylko głową, spogląda na mnie swymi załzawionymi oczyma i pilnie słucha. Patrzę w te dobre oczy i wprost zapytuję:

Czy Drogi Ojciec pamięta swe pierwsze rekolekcje, jakie miał dla kleryczków Seminarium Duchownego Warszawskiego, skoro powrócił do kraju?

Ach, czyż można było je zapomnieć - toć to były moje pierwociny, na gruncie Kongresówki w ukochanej Warszawie podjęte - pamiętam! O pamiętam i w sercu moim one na zawsze pozostały.

A czy Ojciec przypomina sobie Arcypasterza Popiela? Jakżeby nie, toć to mój kuzyn.

No dobrze - szedł dalej niby egzamin, a mnie serce biło z radości, że tak wszystko idzie składnie.

A pomijając inne szczegóły - czy Wielebny Ojciec sobie przypomina - jak po rekolekcjach skończonych odwoził Go młody kleryczek z seminarium do pałacu Arcybiskupiego na ul. Miodową?

Ale jeszcze jedno i ostatnie pytanie: Czy może na pamięć sobie przywieść ten moment, kiedy to wjeżdżaliśmy dorożką w bramę podwórza pałacowego a Czcigodny Ojciec zwrócony do kleryczka, który siedział obok niego w dorożce i wzroku od Jego twarzy nie odrywał - wzięwszy go za ręką powiedział: Oto ja wiozę teraz przyszłego biskupa... a ja wówczas ów kleryczek młody, patrząc na dobrego Ojca wesoło się zaśmiałem i powiedziałem: Wolne żarty, Dobry Ojczy - ale że ja dzisiaj wiozę przyszłego Świętego - to więcej jak pewne... Na to Ojciec kochany dodał, że w niebie czynią świętych, a biskupów na ziemi...

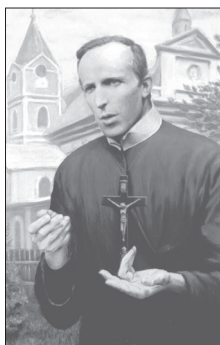
O ho, ho - zawołał wówczas Ojciec Bernard - tak wszystko to prawda, taka była między nami wówczas rozmowa i dziwnie ją sobie przypominam, ale Eksceleńco za jedno proroctwo spełnione nie będziecie mnie kanonizować, potrzeba jeszcze drugiego cudu!

Patrzyliśmy na siebie długą chwilę w spokoju przez łzy, po czym pożegnaliśmy się rychło, gdyż nie chciałem Go męczyć, ale osiągnąłem to, com pragnął - pobłogosławił mnie siedząc swym krzyżem misyjnym, na krzyż mego życia, który zacząłem nieść przez swe życie, od chwili wyjścia z Jego celi zakonnej...

Zbawicielowi Panu Naszemu składałem korne dzięki za natchnienie pójścia do Ojca Bernarda, a było to - o ile mnie pamięć nie zawodzi - na pewno w połowie maja r. 1933, a we wrześniu tego roku - duch Jego odszedł po zapłatę do Pana - a myśmy śmiertelne szczątki ponieśli na cmentarz Wolski, tej ukochanej przez Niego Woli - i nie pozostało od onej pamiętnej chwili nic innego, jak modlić się gorąco o rychłą Ojca Bernarda beatyfikację.

bp Karol Niemira, Warszawa, 24.10.1952 r.

PROŚBY I PODZIĘKOWANIA



„Dziękujemy za wsparcie duchowe, opiekę i poprawę zdrowia naszego syna oraz za pomoc w znalezieniu pracy”.

rodzice Wojciecha

„Prosimy Cię Boże za wstawiennictwem Sługi Bożego Ojca Bernarda Łubieńskiego o łaskę cudownego uzdrowienia nieuleczalnej choroby dla naszego brata Marka”.

Maria i Iwona

„Ojcze Bernardzie, proszę uproś ratunek dla rodziny mojej córki, by się nie rozpadła”.

Twoja czcicielka

„Proszę Cię, Ojcze Bernardzie, o uwolnienie mnie z nałogu tytoniowego. Proszę też o Boże błogosławieństwo na każdy dzień”.

Halina

„Ojcze Bernardzie, proszę za Twoim wstawiennictwem o zdrowie dla naszego poczętego dziecka i mojej żony oraz o szczęśliwe przyjście dziecka na świat”.

Zbyszek

„Sługo Boży Ojcze Bernardzie, proszę o powrót do zdrowia po operacji dla mojej mamy oraz o pokój ducha dla mojego syna Tytusa i nas wszystkich”.

Tomasz

„Proszę Cię, Ojcze Bernardzie, wyproś u Jezusa łaskę nawrócenia i powrotu do religijnego życia dla mojego syna Adama”.

mama Zofia

„Drogi Ojcze, dziękuję za dotychczasowe łaski. Zawsze znajduję u Ciebie zrozumienie i pomoc. Proszę Cię też o pomoc dla mojej mamy – o zdrowie dla niej oraz o pomoc dla moich córek w zdaniu egzaminów”.

Ewa

MODLITWA O UPROSZENIE ŁASK ZA PRZYCZYNĄ SŁUGI BOŻEGO O. BERNARDA ŁUBIEŃSKIEGO ORAZ O JEGO BEATYFIKACJĘ

Boże, który Sługę Twego, Bernarda, obdarzyłeś apostołskim zapalem i mocą ducha w niesieniu krzyża, spraw prosimy, aby ten, który dla prowadzenia ludzi do Królestwa Prawdy i Miłości oddał całe swoje życie, doznawał czci świętych wśród wiernych Twojego Kościoła i był naszym orędownikiem u Ciebie. Udziel nam za jego przyczyną łaski..., której obecnie szczególnie potrzebujemy. Prosimy Cię o to przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Podziękowania za łaski otrzymane za wstawiennictwem Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego prosimy przesyłać na adres:

**Wicepostulator Beatyfikacji
Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego
ul. Wysoka 1
33 – 170 Tuchów**

O potrzebne informacje i obrazki można zwracać się do wicepostulatora sprawy beatyfikacji pisząc na powyższy adres lub e-mail: o.bernard@cssr.pl.

Pismo „Apostoł Polski” redaguje wicepostulator sprawy beatyfikacji Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego, o. Sławomir Pawłowicz. Pismo możecie Państwo otrzymywać drogą pocztową pisząc na adres: ul. Wysoka 1, 33-170 Tuchów, tel. 14/632 72 00, e-mail: o.bernard@cssr.pl. Uprzejmie proszę o nadsyłanie materiałów i sugestii pomocnych w redagowaniu Pisma.



**MODLITWA JUBILEUSZOWA NA 300-LECIE
KORONACJI CUDOWNEGO OBRAZU
MATKI BOŻEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ**

Bogurodzico, Dziewico Maryjo, nasza Matko i Królowo, wyniesiona na wyżyny nieba. Ty nieustannie otaczasz troską i miłością naród polski.

Prosimy, by jubileusz 300-lecia koronacji Twojego Jasnogórskiego Wizerunku odnowił w każdym z nas cześć i ufność wobec Boga, Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Ty, Matko, jesteś nam wzorem zaufania oraz uległego poddania się Jemu we wszystkim. Niech nasze przemienione życie stanie się żywym diamentem Twej korony wyniesienia i chwały.

Chcemy z naszymi duchowymi darami stanąć w bliskości Boga i stać się świadkami Jego wielkiego miłosierdzia. Pragniemy – odnowieni w wierze, nadziei i miłości, żyjąc według zasad Ewangelii – razem z Tobą uwielbiać Tróję Przenajświętszą. Amen.